

Jolanta Nitkowska-Węglarz: Z dziennika kwarantanniaruszki - Wychodzę z kwarantanny

Jeszcze zanim epidemia się rozlała jak nieproszone pchły zaniosiłam do mojego ulubionego szewca, pana Krzysia, buty do przerobienia. Zimy nie było już od kilku lat, a pewnie i kilka następnych także nie będzie, więc wysokie, ciepłe kozaki przestały być potrzebne. Szkoda jednak dobrej skóry, szkoda wygody, którą zapewniają buty przyzwoicie wykonane, a nie jakieś tam chińskie badziewie. Ponieważ pana Krzysia i jego żonę darzę od wielu lat sympatią, zawsze sobie ucinamy pogawędkę na jakieś ważne tematy tzn. albo o miłości do prawdziwej skóry, albo o miłości do regionu. Tu się bowiem nasze drogi schodzą. Podczas oglądania moich wysokich kozaków pan Krzysiu zniecała zapytał:

- A właściwie to jakie są pani wymarzone buty?

- Jak to jakie? Wygodne i skórzane! - odpowiedziałam.

- To akurat, żadna nowość... - stwierdził pan Krzysiu - Nie tylko pani kocha skórzane buty! Ale... gdyby mogła pani wybrać buty tylko dla siebie, to... jakie by one były? - dociekał.

Zamyśliłam się nad tymi butami. W szafie stoi ich tak z pół setki... Wszystkie dobrej jakości, opłacone przyzwoicie, wygodne. Jakie jeszcze bym przygarnęła? Nagle mnie olśniło:

- Panie Krzysiu, wie pan jakie to byłyby wymarzone buty w moim wieku? Takie, że jak w nich pójdę na spotkanie z ludźmi, to nikt nie będzie patrzył na moje zmarszczki i siwe włosy, tylko na moje buty!

Pan Krzysiu pokiwał głową, a jego żona odezwała się z głębi warsztatu:

- Mógłbyś pani Joli takie buty zrobić!

Zaczęłam się śmiać. Pan Krzysiu spojrział na żonę i zakończył rozmowę:

- Kiedyś obu wam, jak znajdę czas, takie buty zrobię! Takie, jakich inny mieć nie będzie!

Pokiwałam głową, bo doba musiałaby mieć ze 40 godzin, żeby ten pracowity człowiek ze wszystkim zdążył.

- No, to jedziemy dalej... - zażartowałam - buty mają mieć co najmniej pięć kolorów na wierzchu i kolorowe

podeszwy...

Pozartowaliśmy, pośmieliśmy się... wizyta dobiegła końca. Za kilka tygodni epidemia uwięziła nas w domach na dobre. Pewnego dnia zadzwonił telefon i usłyszałam głos pana Krzysia:

- Nie zamykamy zakładu, ale z powodu epidemii mamy sporo czasu... teraz zamierzam zrobić buty, o których kiedyś rozmawialiśmy. Dla mojej Joli i dla pani! Jakby je pani określiła jednym słowem?... Jakie mają być?...

- Jak jednym słowem - to kolorowe i ekstrawaganckie!

- Takie będą!!! - usłyszałam w słuchawce.

Pod koniec kwietnia zaproszono mnie do zakładu na przymiarke. Zobaczyłam bajecznie kolorowe buty, pomalowane w szachownicę. Wbiło mnie w fotel.

- O kurde, jestem za stara, żeby chodzić w takich butach!!!

A buty... wygodne jak kapcie!... Wszystko w nich ze skóreczki najwyższej jakości. Dopieszczone... aż nieprzyzwoicie!

- Jestem do nich za stara... - jęknęłam.

- Pani za stara?... - zdziwili się oboje Gęślowie - Starość to nie liczba, to stan ducha! Nikt nie powie, że pani jest stara!

- Nikt nie powie, ale ja to wiem... - wymamrotałam.

- Buty zrobiłem specjalnie dla pani, a nie dla zgrzybiałej starowinki! - stwierdził pan Krzysiu.

Łyknęłam komplement jak gęś śliwkę. Muszę w tych butach się przejść po zakładzie! Krok, dwa, trzy... Kurde... wygodne, jak rzadko.

- Pamięta pani, co powiedziała pani, gdy pytałem o wymarzone buty?... Kolorowe i ekstrawaganckie! Nikt nie będzie patrzył na pani siwe włosy, tylko na buty! Nikt takich nie ma!

- Co racja - to racja!... - stwierdziłam.

Kuracja odmładzająca trwała trzy minuty. - Cycki przed siebie, głowa do góry, plecy wyprostowane!!!... Przecież nie mam na czole wypisane: że kończę 67 lat i już niczego nie mogę! Skoro oni oboje mówią, że mogę... to byłabym głupia, gdybym nie uwierzyła. I tak dzięki epidemii cofnęłam się o jakieś hmmm... pięćdziesiąt lat. W dzień moich 68 urodzin dostałam prezent odmładzający o pół wieku - buty pomalowane w kolorową szachownicę i stwierdziłam, że pan Krzysiu ma rację - starość to nie liczba lat - to stan umysłu!!! Muszę sobie zapisać, żebym tego jutro nie zapomniała.

Przyznam szczerze - wiele lat temu dopadł mnie zajob na punkcie skórzanych butów i torebek. To jedyna dyscyplina w życiu, która smakuje mi jak czekolada w pakiecie z eklerkami. A i pieniędzy od czasu do czasu na te przyjemności mi nie żal. Przeleciałam w myślach moją szafę z butami. Sklep o nazwie "Rozmiar 40" dałoby się otworzyć!!! Przed oczami miałam wysokie zielone szpilki przywiezione z Niemiec, które nieźle wyglądały do spółki z mini spódniczką. O rany, przecież to było prawie 40 lat temu!... Rozmarzyłam się do tych zielonych szpilek i minionej młodości. Szpilki znikły z mojego życia na zawsze po operacji kręgosłupa, ale to wcale nie znaczy, że nie lubię na nie patrzeć. Szpilki dodają pieprzu i odrobiny zaczepności, no i kobiecości. Nawet wtedy, gdy ta kobiecość ma prawie 2 metry. I o tym chciałam opowiedzieć.

Kiedy byłam na drugim roku studiów dostałam w prezencie szwedzkie buty, dziś nazywają się one platformy. To były wyjątkowo wysokie buty. Z tyłu 12 cm, z przodu niecałe dwa. W sumie niewiele mi brakowało do dwóch metrów. Platformy były z leciutkiego korka, ale same buty niewygodne jak jasna cholera, bo podeszwy się nie zginały. Jednak szpan był pierwszej wody! Spódniczka, z której dziś pewnie zrobiłby zaledwie chusteczkę do nosa, kusa bluzeczka, fura włosów na łbie i do tego te obłędne buty. Nie mogę powiedzieć, że szłam w tych butach lekko jak baletnica... raczej się przemieszczałam sztywno jak szczudlarz. Pewnego razu podbiegłam w nich do tramwaju... Wbiegłam z rozpędu po schodach i... wyrznęłam głową w sufit. Nogi mi się rozjechały jak łyżwy - każda w inną stronę. W tej samej sekundzie wylądowałam siedzeniem na podłodze i nijak się z niej pozbierać nie mogłam. Ani w lewo, ani w prawo... Ani do tyłu, ani do przodu...

Mogłam się podnieść tyłkiem do góry na kolana, ku uciesze wszystkich pasażerów, ale wtedy by mi dziurę w honorze wyrwało, bo bym wszystkim majtki pokazała. Siedziałam więc na podłodze i tak się z siebie śmiałam, że lzy mi kapały po brodzie. Jak się naśmiałam i zobaczyłam, że już ze trzy przystanki mi mignęły, rozejrzałam się po tramwaju i rzuciłam filozoficznie w przestrzeń:

- Czy ktoś mi pomoże rozplątać te pieprzone nogi?!

Jak spod ziemi wyrosło przede mną dwóch roślących facetów.

- Ty zdejmuj buty, a ja resztę!... - zakomenderował niższy.

- Jaką resztę?... - jęknęłam z podłogi.

- Tę, co pierdolnęła na ziemię!... - grzecznie odpowiedział zapytany i nie mógł się nadziwić, że ta reszta w jednej sekundzie sama się przywróciła do pionu i dzierżąc w ręku parę zajebistych butów, boso wysiadła z tramwaju.